



Tytuł oryginału: *Dragon Rider*

Copyright © Taran Matharu Ltd., 2023
All rights reserved.

Copyright © for the Polish translation by Bartłomiej Nawrocki 2024

Redakcja: Marta Tojza

Korekta: Marta Stochmialek, Magdalena Magiera

Skład i łamanie: Hotch Studio Paweł Czarkowski

Jacket design by Holly Macdonald © HarperCollinsPublishers Ltd 2024

Jacket illustration: Gaspar Costa/shutterstock.com

Map Copyright © Nicolette Caven 2024

Author photograph © Anita Wong

Adaptacja okładki i stron tytułowych: Magdalena Zawadzka/Aureusart

Wydawczynie: Natalia Sikora

Redaktorka prowadząca: Anna Salwa

Koordynatorka produkcji: Anna Pawłowicz

Promotorka: Aleksandra Sękowska

Copyright for the Polish edition © 2025 by Wydawnictwo Jaguar

Wyrażamy zgodę na wykorzystanie okładki w Internecie.

ISBN 978-83-8266-519-2

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2025

Adres do korespondencji:

Wydawnictwo Jaguar

Imprint Wydawnictwa Marginesy Sp. z o.o.

ul. Ludwika Mierosławskiego 11a

01-527 Warszawa

[instagram.com/wydawnictwojaguar](https://www.instagram.com/wydawnictwojaguar)

[facebook.com/wydawnictwojaguar](https://www.facebook.com/wydawnictwojaguar)

[tiktok.com/@wydawnictwojaguar](https://www.tiktok.com/@wydawnictwojaguar)

Druk i oprawa: Opolgraf

Wydrukowano na papierze Hylte Creamy 70/2,0.

Patronat medialny:





TARAN
MATHARU

SMOCZY
JEŹDZIEC

SAGA ZWIĄZANYCH DUSZ
KSIĘGA I

Przełożył Bartłomiej Nawrocki



*Mojej matce, Liege,
tyle miłości i wdzięczności, ile może pomieścić moje serce*



Rozdział 1

Przed rozpoczęciem bitwy podano słodkości. Żołnierze pocili się w zbrojach na odsłoniętym terenie, podczas gdy władcy Cesarstwa Sabinów objadali się wiśniami w cukrze, śmiali się z tronów ustawionych na podeście wskazywali na coś palcami.

Od mdląco słodkiego aromatu rozchodzącego się w wielkim namiocie Jaiowi aż zaburczało w brzuchu. Pozbawione ścian zadaszenie wzniesiono na platformie tak wysokiej, że nawet z jego pozycji, czyli z kłęczek, widział cały legion ustawiony w szyku bojowym i siły przeciwnika gromadzące się na niskim, porośniętym trawą zboczku w oddali.

Jai odwrócił głowę i wrócił do masowania stóp człowieka, który zabił mu ojca. Stóp starego cesarza. Zasuszzonej skorupy pozostałej po niegdyś wielkim władcy, opatulonej w jedwabie i kaszmiry. Założyciela dynastii Sabinów oraz cesarstwa, które rozciągało się od Srebrnych Mórz aż po Wielki Step.

Leonid Wielki. Lew Sabinów. Już przed laty przekazał władzę w ręce syna, albowiem teraz, jako nestor rodu, był na wpół ślepy i zniedołężniały. Siedział z dala od swoich latorośli, prawie jakby ktoś w ostatniej chwili przypomniał sobie, że należy zabrać go ze sobą. Jego następcy zawdzięczali mu wszystko, a mimo to traktowali go jak relikwiarz przeszłości. Gdyby Jai tak bardzo go nie nienawidził, pewnie zrobiłoby mu się go żal.

– Jai.

Chłopak podniósł wzrok i zobaczył wygięty palec. Umieścił pomarszczone stopy w misce perfumowanej wody i skłoniwszy głowę, stanął obok najmniejszego z trzech tronów. Siedzący na nim starzec był przygarbiony i wpatrywał się przed siebie niewidzącymi oczami. Bezlitosny artretyzm powykręcał mocne niegdyś dłonie, tak że cesarzowi z trudem przychodziło nawet odgarnianie przerzedzonych włosów z twarzy pociętej głębokimi zmarszczkami.

– Powiedz mi, co widzą twe młode oczy – polecił Leonid skrzekliwym głosem, który Jai znał aż za dobrze.

To ten skrzek pouczał go, kiedy mył plecy mężczyzny. Łajał, kiedy był za wolny. Albo przynudzał bez końca, kiedy stary wspominał dawną chwałę. Jai towarzyszył Leonidowi nieustannie przez niemal dziesięć z siedemnastu lat swojego życia.

– Zbierają się już – wyszeptał Jai, patrząc ponad legionem. – Nie mają dokąd uciec.

Starzec wydał z siebie pomruk aprobaty, ten zaś przerodził się w gwałtowny kaszel. Jai pochylił się szybko i roztarł Leonidowi plecy, wyczuwając pod miękkim kaszmiem wystający kręgosłup.

Pewnie prędzej niż później stary odejdzie w Nieznane. Ale do tego czasu Jai pozostawał posłusznym sługą. Nie żeby miał w tej kwestii coś do powiedzenia.

– Barbarzyńcy głupio postąpili, że się nie poddali – westchnął Leonid, gdy atak ustał. – Wystawiamy przeciwko nim zaledwie jeden z ośmiu naszych legionów, a i tak nie mają szans.

– A jaki pozostał im wybór? – zapytał Jai, ostrożnie dobierając słowa. – Stracić ziemie przodków i znaleźć się pod jarzmem obcego imperium?

Unikał impertynenckiego tonu, mówił tak, jak życzył sobie tego Leonid: niby uczeń zwracający się do nauczyciela.

– Życ – odpowiedział Leonid. – Życ wolno. A teraz...

Grzmiący dźwięk rogu wstrząsnął wielkim namiotem i sprawił, że umilkli nawet cesarz oraz jego syn, którzy do tej pory gawędzili między sobą, rozparci na tronach jak w amfiteatrze.

Był to sygnał wroga dobiegający ze zbrocza. Ostatnie wezwanie Huddytów.

Dzień był tak pogodny, że nawet z odległości niemal ligi Jai mógł dostrzec, jak Huddyci w popłochu przygotowują się do starcia. Dzieci kurczowo trzymały się rodziców, mimo że ci próbowali powierzyć je opiece, jak domyślił się chłopak, starszych i słabszych.

Mężczyźni i kobiety o śniadych twarzach stawali w pierwszych szeregach, ściskając wszelką broń, jaką udało im się zdobyć. Mieli wystarczająco wiele ostrzy, ale co jakiś czas dało się dostrzec widły, sierpy, a nawet prowizoryczne pałki. Narzędzia farmerów. Ani jednej zbroi. To nie była armia – to byli niedobitkowie cywilizacji. Cywilizacji, którą wygnano z jej ojczystej ziemi aż na sam skraj Srebrnych Mór; morska toń rozciągała się niewidoczna za wzniesieniem. Regularne oddziały Huddytów zostały wyróżnione w bitwie zaledwie miesiąc wcześniej, a tych, którzy ocalili, zgodnie ze zwyczajem wzięto na niewolnych.

Teraz pozostali już tylko cywile. Zwykli ludzie, którzy nie godzili się na życie w Cesarstwie Sabinów i woleli ucieczkę od tyranii najeźdźcy. Ale Sabinowie byli nienasyconymi i nie zamierzali na to pozwolić.

Był to więc ostatni bastion Huddytów. Koniec ich kultury. Ich sposobu życia. W odmowie przyznania się do porażki kryła się pewna odwaga. Odwaga, a jednocześnie skrajna głupota, ponieważ każdy, kto występował zbrojnie przeciwko Sabinom, skazywał się na zgubę.

Głupcy. Tacy sami jak ojciec Jaia.

– Mów – zaskrzeczał Leonid.

– Szykują się do natarcia – szepnął chłopak. – Jest ich wielu. Więcej niż pięć tysięcy legionistów. Być może dziesięć razy więcej.

Leonid zbył jego słowa machnięciem poznaczonej błękitnymi żyłami dłoni.

– Żadna armia nie zdoła pokonać legionu Sabinów, a co dopiero ta niewyszkolona hołota.

Jai powstrzymał cisnącą mu się na usta ripostę, że armia jego ojca zdołała tego dokonać. Raz. Zamiast tego spojrział w kierunku członków rodziny cesarskiej, którzy wychylili się do przodu, podekscytowani nadchodzącą rozrywką. Było coś nonszalanckiego w tym, jak rozsiedli się

na tronach i otoczeni przez wachlujących ich służących zacierali dłonie ozdobione pierścieniami. Dla nich było to tylko kolejne widowisko. Jak szczerze niedźwiedzia jaskiniowego lub występ barda.

I wtedy: ryk atakujących i dudnienie stóp. Jai nie chciał tego oglądać, ale ponieważ jego oczy należały do Leonida, zwrócił wzrok w stronę bitwy.

Legion Sabinów zdawał się trwać nieruchomo. Ciemna, rozdrobniona fala Huddytów zderzyła się z lśniącem pierwszym szeregiem. Pomimo że od pola bitwy dzieliła ich niemal mila, słyszeli dźwięczenie stali oraz lamenty bólu i furii. Tumult unosił się i opadał na wietrze, ale nawet na chwilę nie ucichł.

Oprócz pierwszego natarcia Jai nie widział zbyt wiele z trwającej masakry, jedynie plecy mężczyzn prących naprzód. Mógł sobie tylko to wyobrażać na podstawie tego, co wyczytał w dziennikach Leonida lub podслуchał od pijanych żołnierzy zaraz po tym, jak kończyli z przechwałkami, a zaczęli opłakiwać straconych towarzyszy.

W namiocie zapadła nietypowa cisza i przez pełną minutę wszyscy nasłuchiwali bitewnego zgiełku, po czym członkowie rodziny cesarskiej i arystokracji wznowili przerwane rozmowy. Przez cały ten czas Jai chciał, by Huddyci przełamali szyk.

Niecierpliwie klepięcie sprawiło, że Jai też w końcu otworzył usta.

– Walczą – powiedział jedynie. – Pierwszy Legion staje dzielnie.

– Błąd taktyczny – mruknął Leonid. – Gdzie okrażenie? Dlaczego nie ma kawalerii? Mój syn obrósł w piórka.

Pochylił się do przodu, jakby jego zasnutę bielmem oczy jakimś cudem mogły dostrzec coś więcej.

– Dobrze walczą?

Jai nie miał dla niego żadnej odpowiedzi. Jego uwagę przykuło co innego.

Wielki cień przemknął nad legionem i nagle, niemal jak jeden mąż, tysiące walczących zamarło i wzniosło twarze ku niebu.

Ryk. Głęboki, gardłowy, który wstrząsnął Jaiem do cna. Ogarnęło go przerażenie. Instynktowny, zwierzęcy impuls, od którego ciało chłopaka

SMOCZY JEŹDZIEC

zastygło w bezruchu, a serce zaczęło walić, mimo że każda jedna myśl kazała mu uciekać.

Jednakże stary Leonid nie okazał strachu. Zamiast tego odezwał się cicho, tak że ledwo dało się go usłyszeć pośród podnieconych krzyków zebranych w namiocie:

– Ach. Przybyła moja przyszła wnuczka.



Rozdział 2

Nie było żadnego głuchego tąpnięcia – wylądował przed namiotem z takim wdziękiem, że Jai prawie go nie usłyszał. Poczł jednak silny powiew wzbudzony machnięciem potężnych skrzydeł, od którego wyduło się płócienne sklepienie, a tumany kurzu zawirowały w powietrzu.

Był to pierwszy smok, jakiego w życiu widział. Prawdopodobnie był to pierwszy smok, jakiego w ogóle widzieli Sabinowie, włącznie z samym Leonidem. Musiał być – jeśli wierzyć opowieściom – jednym z ostatnich przedstawicieli swego rodzaju.

Z początku widział jedynie kształt mający pośród obłoków pyłu, wzbitych przez samą bestię. Krętą szyję i skrzydła, które złożyła leniwie do tyłu niczym poły płaszcza. I ogon zwinięty między tylnymi szeregami legionu a platformą z namiotem. Smok był wielki jak trzy rumaki bitewne, od nosa do ogona.

Jai nie mógł się napatrzeć na kolor stworzenia. Szmaragdowe łuski lśniły jak wypolerowana zbroja, gładka, jeśli nie liczyć rzędu kolców zdobiących grzbiet aż po kraniec ogona. Widoku dopełniał rogaty łeb z długim pyskiem, w którego kącikach, spod rozchylnych żarłocznie warg, błyszczały ostre kły.

Wrażenie było tak niesamowite, że Jai prawie nie zwrócił uwagi na jeźdźca dosiadającego bestii. Dopiero gdy ten zeskoczył na platformę namiotu, chłopak oderwał wzrok od smoka.

Postać była gibka, odziana w białą muslinową suknię, która przylegała do jej nóg, kiedy zrobiła krok w stronę tronów. Twarz i włosy miała zakryte cienką woalką; Jai już wcześniej stwierdził po pełnych gracji ruchach, że to kobieta, ale sięgające pasa złociste pukle, które wysuwały się luźno spod zastony, potwierdziły to przypuszczenie.

Dziewczyna odgarnęła kosmyk ozdobioną biżuterią dłonią i podeszła do cesarskiego tronu. Miejsca zajmowanego przez Konstantyna Błogosławionego. Albo – jak mówiła na niego większość – Konstantyna Okrutnego.

Zatrzymała się przed cesarzem i księciem w milczeniu, podczas gdy bitewne okrzyki dryfowały na wietrze.

Strzegący Konstantyna strażnicy zbliżyli dłonie do rękojeści mieczy, a gdy dziewczyna nie uklęknęła, rozległy się pomruki. Nawet ksiązę Tytus musiał się kłaniać ojcu, a mimo to dziewczyna stała niespieszona, obracając głowę to w lewo, to w prawo, jakby przyglądała się wzniesionym przed nią tronom z ciekawością godną sztuki teatralnej.

– Przynosimy ci podarek, cesarzu Konstantynie – oznajmiła.

Głos miała donośny i twardy; mówiła z akcentem, w którym Jai rozpoznał melodię języka Dansków, ludu z Północnej Tundry, królestwa niepodbitego przez Sabinów. Danskowie uznali najwidoczniej, że lepiej wżenić się w panującą dynastię, niż z nią walczyć.

Konstantyn machnięciem ręki dał znak strażnikom i napięcie w namiocie opadło, rozładowane nagłym uśmiechem cesarza.

– A cóż to za podarek, księżniczko Erico? – odpowiedział Konstantyn, pochylając się, by lepiej się jej przyjrzeć. – Być może dłuższa przyjemność płynąca z twego towarzystwa? Nie spodziewaliśmy się ciebie wcześniej niż za kilka tygodni.

– Zwycięstwo – wybrzmiała odpowiedź dziewczyny.

Jak na jakiś niewidzialny rozkaz smok podniósł łeb ku niebu. Otworzył wielką, pełną kłów paszczę, którą mógłby pożreć człowieka w całości. Na ten widok serce Jaia zamarło.

A potem stwór ryknął.

Dźwięk przedarł się przez namiot i wzniósł aż pod samo niebo. Nawet pomimo łoskotu walki, odbił się echem po równinie. Trwał i trwał, pierś wielkiej bestii falowała od wysiłku. W każdej kolejnej sekundzie Jai musiał zwalczać w sobie chęć ucieczki.

W namiocie zapanowała cisza, jeśli nie liczyć odległego szczęku broni i krzyków ginących na polu bitwy. Potem nadeszła odpowiedź: kolejny ryk, dobiegający z daleka. Jai dostrzegł już na niebie drugiego smoka, szybującego nad wzgórzem. Ale to nie on zwrócił na siebie uwagę, lecz ciemna fala zbierająca się w miejscu, gdzie szczyt zbocza spotykał się z horyzontem. Fala, która lśniła w słońcu ponad hordą Huddytów.

Przybyła kolejna armia, ale ta znajdowała się jakieś sto stóp za tyłami Huddytów. Tysiące wojowników uderzających toporami o tarcze, intonujących do rytmu gardłową wojenną pieśń. Opadli z sił Huddyci zwrócili się ku nowemu zagrożeniu, ale okrzyki przerażenia ledwo przebijały się przez wrzawę.

Konstantyn wstał z tronu, by mieć lepszy widok, po czym zachwycony zaklaskał w dłonie.

– Ale ci się trafiło, mój synu. – Roześmiał się, pochylił i klepnął księcia w ramię. – Twoja wybranka zje cię na śniadanie, jeśli nie będziesz ostrożny. I jeśli jej smok nie zrobi tego pierwszy.

Konstantyn znów zaśmiał się z własnego żartu i usiadł z powrotem, podobnie jak świta zgromadzona za jego plecami. Siedzący na tronie obok ojca Tytus jedynie skrzywił się gniewnie i szepnął coś do osobistego strażnika.

Jaia jak zwykle zaskoczyło, jak niepozorny wydawał się cesarz, ze starrannie przyciętą kozią bródką i cienkim wąsem. Nos miał zadarty tak samo jak jego syn, który patrzył wilkiem na ojca spod jasnej grzywy. Na ostrej twarzy księcia pojawił się grymas, który wykrzywił mu wargi. Nie powitał swej przyszłej małżonki.

Leonid cmoknął pod nosem z dezaprobatą, przyglądając się scenie zaczerwienionymi oczami. Z odległości kilkunastu kroków ledwie widział całą wymianę zdań między jeźdźczynią a cesarzem. Jai poczuł ulgę, że stary nie poprosił o relację z zajścia, bo chłopak nie miał ochoty przerywać

względnej ciszy, która zapadła w namiocie. Kiedy Konstantyn zabierał głos, niewielu ośmielało się nie poświęcić mu całej uwagi.

Dziewczyna stała samotnie, niemal niezręcznie, aż nagle odwróciła się plecami do władców Sabinów. Jej smok wydał z siebie niski pomruk i wyciągnął do niej smukłą szyję, nie ruszając się z miejsca.

Nawet Konstantyn zmarszczył brwi na tak rażący brak manier, ale wkrótce objawił im się powód zachowania dziewczyny. Jaiowi aż nie chciało się wierzyć, jak szybko drugi smok przeleciał nad bitewnym zamętem, ale chwilę później bestia wylądowała obok pierwszej; chłopak znów odwrócił głowę, by uchronić się przed kłębami pyłu.

Ten smok wyglądał na starszego od smoka Eriki – jego czarne łuski nie lśniły równie mocno, brakowało mu też części zębów. Grzbiet przecinały liczne blizny, świadectwa bitew toczonych przez całe życie przeciwko cesarskim gryfom. Jai wiedział już, kto zeskoczył na platformę odziany w najznamienitszy strój, jakim mogła poszczycić się Północna Tundra.

Król Ivar, ojciec Eriki. Na barki zarzucił sobie białe futro niedźwiedzia jaskiniowego; górna szczęka zwierzęcia okrywała jego głowę. Na pobrużdżonym zmarszczkami czole widać było srebrny diadem, a torkwes dzwonił przy każdym ruchu ramion – ramion, pomimo wieku króla, wciąż umięśnionych.

Władca Dansków podniósł głowę; oblicze miał równie nieprzeniknione, co skryta za woalką twarz Eriki. Jedyne spojrzenie, które przenosił z cesarza na cesarskiego syna, zdradzało jego myśli.

W porównaniu z cesarzem Ivar wyglądał niemal dziko; efekt potęgowały jeszcze pożółkłe zęby i wiry tatuaży na piersi i szyi, choć te były na wpół zasłonięte przez płową brodę. Konstantyn natomiast prezentował się imponująco w nieskazitelnej purpurze i misternej złotej koronie.

Ivar rozłożył szeroko ramiona, a na jego ogorzałej twarzy pojawił się uśmiech.

– Przepraszamy za nasze przedwczesne przybycie, Konstancynie – odezwał się. Jai nawet z tej odległości poczuł w jego oddechu woń piwa. – Płynęliśmy wzdłuż wybrzeża, a wiatry nad Srebrnymi Morzami okazały się łaskawe dla naszych okrętów.

On również się nie uklonił, skinął jedynie lekko cesarzowi i jego synowi. Najwięcej szacunku okazał Leonidowi; szelmowski uśmiech zbladł, gdy pochylał głowę przed starcem. Następnie objął ramieniem córkę i mrugnął do Tytusa. Książę skrzywił się ponownie i poruszył niecierpliwie na tronie. Erica złapała rękę ojca, a ten wypuścił ją ze stęknieniem.

– Jak mielibyśmy wam nie wybaczyć – odparł Konstantyn – gdy przyniesicie tak szczodry podarek? – Potoczył dłonią po armii Dąnsków. – Nasz legion nie potrzebuje pomocy, ale chętnie ją przyjmujemy. Mimo to zmuszony jestem zauważyć, że chyba straciłeś element zaskoczenia.

Ivar wybuchnął donośnym, dudniącym śmiechem.

– Nie mamy zwady z Huddytami – rzekł, kręcąc głową. – To... jak by to ująć... demonstracja tego, co może przynieść nasz nowy sojusz. Na dzisiaj powinno wystarczyć, wszak nie jesteśmy jeszcze sojusznikami. Nie dopóki krew nie splami małżeńskiego łoża, co, Tytus?

Przypominający niedźwiedzia władca szturchnął córkę i roześmiał się ponownie. Dziewczyna milczała dalej z twarzą ukrytą za woalką, ale Jai nie mógł nie zauważyć, że jej dłoń w rękawicy zamknęła się w pięść.

Konstantyn zacisnął usta, ale nawet jeśli Ivar to dostrzegł, w ogóle się z tym nie zdradził. Zamiast tego poklepał się po dość okazałym brzuchu i wskazał na bitwę toczącą się za jego plecami.

– Czas na ucztę – powiedział Ivar. – Dajcie tej hałastrze się podać. Spójrzcie, już składają broń.

Po tym, jak Leonid pstryknął go w ucho, Jai z powrotem zwrócił głowę w kierunku walczących. W istocie dźwięki bitwy powoli cichły, tak że dało się słyszeć już jedynie marsz i śpiew dąnskich wojowników. Huddyci przerwali natarcie na trzymających szyk legionistów; dziesiątki tysięcy znalazły się między młotem Dąnsków a kowadłem Sabinów.

– Ma rację – ośmielił się szepnąć do Leonida Jai.

Nie wszyscy rzucili broń, lecz Huddyci musieli zrozumieć, że ostatni chwalebny bastion właśnie padł. Czekala ich już albo rzeź, albo kapitulacja i praca na rzecz cesarstwa do końca swoich dni. Cesarzski kodeks zezwalał na branie jeńców na niewolnych.

Nawet z daleka Jai widział kobiety i mężczyzn padających na kolana w błagalnym geście. Kilka setek nadal stawiało opór, szarpiąc klęczących

i próbując ich przekonać, by wstali. Ta garstka będzie pewnie walczyła aż do gorzkiego końca, ale reszta mogła zostać oszczędzona i przeżyć jako niewolni. O ile to w ogóle było życie.

Konstantyn odchrząknął i podniósł się z tronu. Podeszedł do Ivara; niski, korpulentny mężczyzna podniósł głowę, by spojrzeć na mierzącego sześć stóp, zaprawionego w bojach króla. Aż do teraz ci dwaj byli rywalami. Można by nawet powiedzieć wrogami, choć rzadko kiedy dochodziło między nimi do bezpośrednich starć.

Wtedy Konstantyn rozłożył ramiona i uściskał Ivara.

– A więc: błogosławiona łaska! – ogłosił, odsuwając się. – By uczcić unię między naszymi dwiema wielkimi dynastiami! Łaska!

Leonid mruknął z aprobatą i przyciągnął do siebie Jaia.

– Miej oko na Dansków – syknął mu do ucha. – Przymierze nie zostało jeszcze przypieczętowane.



Rozdział 3

Jazda Kaszmirowym Szlakiem w starym powozie cesarza upłynęła im w rytmie trzasków bicia i ubijania poduszek. Ku rozczarowaniu Jaia Leonid nie pozwolił odsłonić zasłon, więc chłopak musiał gapić się na chrapiącego starca, który przespał trwającą dwa dni podróż powrotną do Lacjum.

Jai tęsknił za swoimi książkami. Za prawdziwym jedzeniem, a nie tą rzadką, ale łatwą do przyswojenia papką, którą Leonid żywił się w trakcie wyprawy i którą Jai również musiał jeść. Ale przede wszystkim tęsknił za widokiem tego, co na zewnątrz.

Niemal całe życie spędził na dworze Sabinów. W ciągu przeszło dekady, od kiedy tam przybył, w zasadzie nie opuszczał terenów cesarskiego pałacu. Czuł się jak więzień. I w pewnym sensie nie odbiegało to od rzeczywistości.

Jai był bowiem zwykłym zakładnikiem.

Kiedy chłopak był jeszcze dzieckiem, jego ojciec, Rohan, król plemienia Kidara, zjednoczył inne ludy Wielkiego Stepu przeciwko Cesarstwu Sabinów. Rohan obwołał się Wielkim Chanem Ludu Stepu i na czele swych wojsk stawił opór wrogowi w krwawej kampanii, która zakończyła się patem i monumentalnymi stratami po obydwu stronach. Wszystko sprowadziło się do ostatniej bitwy. Bitwy, którą ojciec Jaia przegrał. Po schwyтaniu Wielkiego Chana Leonid ściał go osobiście.

Rzecz w tym, że Leonid już wtedy był wiekowy, a wieloletnie wojny tylko go postarzyły. Znalazłszy się na skraju wyczerpania, w dniu egzekucji Rohana oddał koronę i władzę nad cesarstwem w ręce syna. Konstantyn natomiast nie wykazywał najmniejszej chęci, by najeżdzać ciągnące się, zdawałoby się w nieskończoność, trawiaste równiny; nie w obliczu niepokojów wybuchających na kolejnych podbitych przez cesarstwo ziemiach. Niepokojów zainspirowanych przykładem, który dał wszystkim ojciec Jaia.

I tak zawarto traktat pokojowy. Traktat, na mocy którego przywódca plemion rokrocznie płacili Sabinom trybut, a jeńcy mieli pozostać w niewoli.

Przywódcy wysłali też swoje dzieci na dwór Sabinów, gdzie miały się wychowywać aż do ukończenia dwudziestego roku życia. Gdyby któreś z plemion naruszyło pokój lub odmówiło zapłaty daniny... ich potomkowie zostaliby zgładzeni.

Jako trzeci syn swojego ojca, urodzony w dodatku przez bezimienną kurtyzanę, Jai znaczył na dworze równie mało, co znaczyłby w domu. Podczas gdy jego dwóm starszym braciom okazywano choć krztynę szacunku – służyli księciu Tytusowi jako towarzysze i przewodnicy w trakcie polowań – Jaiowi przypadło w udziale wycieranie śliny z rzadkiej brody Leonida oraz inne, jeszcze bardziej nikczemne obowiązki. Jego przezwisko, „podsraluch”, było podłe, lecz nie nietrafione.

Jego istnienie nie miało celu – zarówno na dworze, jak i na Wielkim Stepie. Był przypisem w annałach historii. I w ogóle mu to nie przeszkadzało. Chciał po prostu żyć spokojnie w miejscu, które mógłby nazwać domem... choć czasami zastanawiał się, czy miał w ogóle prawo nazywać Wielki Step swoją ojczyzną, skoro nawet go nie pamiętał.

– Daleko jeszcze?

Pytanie Leonida wyrwało chłopaka z zamyślenia. Starzec podniósł głowę, a Jai szybko podparł mu kark i podstawił do ust tykwę z wodą.

– Mam nadzieję, że nie – odpowiedział. – Gdybym wyrżał na zewnątrz, pewnie mógłbym udzielić nieco dokładniejszej odpowiedzi.

Leonid podniósł wzrok, by przyjrzeć się badawczo twarzy Jaia. Czy dostrzegał ślady jego mieszanego pochodzenia? Bledsza skóra, którą

odziedziczył po matce, odróżniała go od pozostałych mieszkańców stepu. A może Leonid widział po prostu Stepowca, takiego jak ojciec Jaia: czarne, obcięte do ramion włosy i orzechowe oczy? To bez wątpienia widzieli wszyscy inni.

Po chwili stary cesarz mruknięciem wyraził zgodę, a Jai, szczerząc się, delikatnie uchylił zasłonę, ostrożnie, by nie oślepić starca.

Przycisnął twarz do szyby i wpatrywał się w mijane wzgórza wznoszące się w sercu Cesarstwa Sabinów. Komuś innemu widok pewnie wydałby się nudny, bo poza polami gęsto obsianymi kłosami pszenicy, która chyliła się ku ziemi w popołudniowym słońcu, nie było tu zbyt wiele do oglądania. Ale Jai nigdy jeszcze nie widział czegoś takiego – czytał o tym jedynie w rozległej bibliotece Leonida lub zasłyszał we wspominkach starożytności. Zaczął się zastanawiać, jak bardzo jego rodzinne strony różniły się od tych wzgórz, i spróbował poszukać odpowiedzi w odmętach pamięci.

Jego wspomnienia z miejsca, z którego pochodził, były nieostre. Koniec końców miał zaledwie cztery lata – ledwo odstawiono go od piersi mamki – kiedy został odesłany. Ale pozostały mu przebłyski.

Mężczyźni i kobiety siedzący w kręgu, olejujący i zaplatający sobie nawzajem włosy. Jadło, które paliło w usta, ale jednocześnie rozgrzewało i dawało poczucie, że ŻYJE. I, najbardziej irytujące, zapachy, których nie potrafił nazwać, i smaki, którymi rozkoszował się jedynie we śnie.

Niewiele jak na księcia stepu.

Gdyby nie Balbir, którą wysłano, by opiekowała się nim i jego braćmi, mógłby nie wiedzieć o swoich pobratymcach kompletnie nic.

Ale nawet ją już od niego izolowano, od kiedy zaczęła pracować dla rodziny szlacheckiej mieszkającej w dzielnicy kupieckiej Lacjum. Podczas tych nielicznych okazji, kiedy Jaiowi wolno było opuścić pałac, dokładał wszelkich starań, by się z nią zobaczyć, jednak rzadko kiedy kobieta mogła zrobić coś więcej, niż tylko zamienić z nim kilka słów podczas czyszczenia frontowych schodów, zanim jej pani wezwała ją do środka.

– No i? – zapytał Leonid.

Jai westchnął i z powrotem opuścił zasłonę.

– Widzę jedynie pola.

Leonid pokiwiał cierpko głową i poprawił się na poduszkach.

– Jesteśmy blisko – powiedział. – Miasto zawsze otaczały pola. W ten sposób można dostrzec napastników na długo przed tym, nim podejną pod mury.

– Napastników? – zapytał Jai. – Tak daleko na południu? Leonid zachichotał.

– Dawniej mieliśmy wielu wrogów. Rebelie, powstania. Wszystko to minęło. Teraz zostali jedynie Danskowie.

Jai przysunął się bliżej.

– Zostali? Nadal? Poprosiłeś mnie, bym ich dla ciebie obserwował. Dlaczego?

Leonid westchnął i przetarł oczy.

– Od dekad najjeźdzali nasze wybrzeża i północne rubieże cesarstwa. Zapytaj mnie, Jai, dlaczego nie zmiądzylem ich jak reszty moich wrogów?

– To proste, przez smoki – odpowiedział Jai.

Śmiech Leonida przeszedł w suchy kaszel. Jai pomógł starcowi się wyprostować i rozmasowywał mu plecy, aż atak ustał.

Smoki. Nawet w takim miejscu jak Cesarstwo Sabinów, którego dzikie tereny zamieszkiwało wiele niebezpiecznych stworzeń, samo to słowo wzbudzało strach i podziw w tych, którzy je słyszeli. Wciąż krążyły legendy o czasach, kiedy drapieżniki te widywano na niebie w każdym zakątku świata. Teraz, gdy zostało ich zaledwie kilkadziesiąt, latały, gdzie chciały, ale wracały co roku, by rozmnożyć się w mroźnych górach Północnej Tundry i polować na narwale i foki żyjące w Srebrnych Morzach.

Leonid przestał trząść się od kaszlu i upił łyk wody.

– Smoki. Tfu! Danskowie chcieliby, żeby wszyscy tak myśleli – wychrypiał. – Ale nasza Gryfia Gwardia sprostaby ich smokom, gdyby przyszło co do czego. Rzecz w liczebności, chłopcze. Mamy setkę lub więcej gryfów przeciwko kilkunastu smokom. Wyrównana walka.

Serce Jaia zabiło mocniej na myśl o osobistych protektorach cesarza, jeźdźcach dosiadających wielkich bestii. Gryfy były mniejsze i słabsze od smoków, to prawda, ale Leonid miał rację, było ich więcej – i wszystkie pozostawały związane z rycerzami z gwardii. Smoki, z tego, co wiedział, duszowiwały się jedynie z przedstawicielami wyższych sfer Królestwa Dansków.

– To dlaczego? – zapytał Jai.

Leonid naciągnął futro na nogi i się skrzywił, gdy coś strzyknęło mu w ramieniu od nagłego ruchu.

– Przez zimno – rzekł krótko. – Danskowie żyją na terenach, gdzie panuje niemal nieustanna zima, a ich królestwo obejmuje setki odległych od siebie wiosek. Nie wspominając o tym, że ich wojownicy słyną z zasadzek. Wystarczy posłuchać żołnierzy pełniących służbę na granicy. Wykrwawilibyśmy się i wyczerpalibyśmy wszelkie zapasy, by ich najechać, a potem własnym ciałem zapłacilibyśmy za to, by utrzymać panowanie. W imię czego? Jałowej ziemi, gdzie ledwo co rośnie? Tfu!

Poirytowany mężczyzna splunął ponownie.

Jak zwykle Jai słuchał uważnie, chłonąc tyle wiedzy, ile zdołał. Wciąż zdumiewało go, że Leonid zniżał się do rozmawiania z nim w taki sposób. Jeszcze bardziej dziwiło go, że krewni Leonida wraz z całym sabińskim dworem ignorowali starca. Mężczyzna przeżył wszystkich swoich rówieśników. Oglądał blisko setkę żniw.

Syn Leonida, Konstantyn, prawie nie widywał się z ojcem; zamiast tego wołał hulać ze swiątą klakierów. Tytusa może i fascynowało dziedzictwo starego cesarza, ale poszedł w ślady ojca i odwiedzał dziadka równie rzadko. Pałac był na tyle wielki, że członkowie rodziny cesarskiej mogli nie widywać się miesiącami.

– Czy arobujesz to małżeństwo? – zapytał Jai. – Nie wiedziałem nawet, że coś takiego ma się wydarzyć.

Leonid zarechotał.

– Nikt nie zapytał mnie o zdanie, ale wiedziałem, że do tego dojdzie. Mój syn postąpił mądrze. Konstantyn to władca na czas pokoju, choć potrafi posunąć się do podstępów. Małżeństwo pozwoli nam wycofać legiony z północnego pogranicza, a to z kolei zasili nasz skarbiec. Ale najważniejsze, że kiedy syn Tytusa obejmie tron, Północna Tundra stanie się częścią imperium.

Jai pokiwał głową, choć znał starego na tyle długo, by wiedzieć, iż Leonid nie mówi mu całej prawdy. Dlatego postarał się, by pytanie zabrzmiało jak rzucone mimochodem.

– Ale nie wolno im ufać?

Leonid uniósł brew. Rozmowa nie przypominała tych, które zwykle prowadzili, bo byłego cesarza przeważnie interesowało wspomnianie dni minionej chwały. Teraz jednak Jai zahaczył o kwestie polityki prowadzonej przez obecną dwór. Ale starzec w końcu przechylił głowę.

– Wylądowali na wybrzeżu w sile stu drakkarów, a ich armia przemaszerowała przez suwerenne terytorium. Gdyby Gryfia Gwardia nie zauważyła ich wcześniej i nie ostrzegła straży przybrzeżnej, by ich nie atakowano, zaraz po ich przybyciu mogłoby dojść do walki. Niezwykle lekkomyślne z ich strony, i to wszystko dla błahego pokazu siły. A lekkomyślny wróg, to wróg niebezpieczny. Nieprzewidywalny. Dlatego Rohan sprawiał mi tyle kłopotów.

Spostrzegł przygnębienie, które odmalowało się na twarzy Jai na wspomnienie jego ojca, i odchrząknął. Nawet po dziesięciu latach nie podejmowali tego tematu.

Na szczęście walenie w dach przerwało niezręczną ciszę.

– Pięć minut! – dobiegł ich przytłumiony głos woźnicy.

Nie zważając na syknięcie Leonida, Jai ponownie odchylił zasłonę. Dla tego widoku był gotów narazić się na jego niezadowolenie. Po raz pierwszy zobaczył Lacjum od zewnątrz.

Nad równiną górowało gigantyczne wzniesienie, które po przeciwnej stronie zakończone było urwiskiem. Topograficzną anomalię przyćmiewał jednak rozległy marmurowy pałac zbudowany na zboczu, zdobiony kopułami z brązu i zigguratami. Między białymi budynkami zieleniły się ogrody wypoczynkowe, ale oczy Jai przyciągała wysoka iglica, w której mieściła się siedziba Gryfiej Gwardii. Wypatrywał elitarnych wojowników cesarstwa lądujących na żerdziach, ale żadnego nie dostrzegł. Pewnie krążyli nad nimi, nie spuszczać z oka oddziałów Dansków, które maszerowały kilka mil za królewskim orszakiem.

– Napatrzyłeś się już? – warknął rozdrażniony Leonid.

Jai puścił materiał i w powozie znów zapanowała ciemność.

– Nie wiem, jak niby mam obserwować Dansków – wymamrotał Jai. – Prawie w ogóle nie wychodzisz z komnat.

Leonid zachichotał sucho.

– Tytus i jego narzeczona Erica wybierają się jutro rano na polowanie. Dołączę do nich... ty zresztą też.